



BEZPŁATNY DODATEK DO „WIARUSA“ NR 32 DLA DZIECI RODZIN PODOFICERSKICH

CIEPŁOTY ORŁAT

ROK II

WARSZAWA, 6 SIERPNI 1939 ROKU

NR 31

W SIERPNI PRZED 25 LATY



Padają słupy graniczne zaborców!



Pierwszy bój strzelecki



Z pieśnią na ustach wkraczają Legiony do Królestwa Polskiego



Dwudziestopięciolecie Pierwszej Kadrowej

Upalny był ten sierpień 1914 roku...

Nad światem przelatywały gromy. W dusznej atmosferze ówczesnej Europy nastąpił długo oczekiwany wybuch wojny, która z lokalnego zatargu monarchii Habsburgów z małą Serbią przeistoczyła się w krwawą i długotrwałą masakrę światową, zmieniając w konsekwencji stosunki europejskie od podstaw. Co więcej — wojna ta spowodowała tyle zmian w życiu naszym na każdym polu, że właściwie skutki jej odczuwamy po dziś dzień...

Wybuchła wojna wszystkich ze wszystkimi, wojna ludów — o którą modlił się Mickiewicz, wieszcząc, iż w jej wyniku Polska znów powróci na arenę dziejów.

A choć w 4 lata później sprawdziły się genialne proctwa największego naszego poety, wtedy, w sierpniu 1914 roku, nikt o Polsce nie myślał. Wszyscy traktowali nasze ziemie niby własność obcą, interesującą świat jedynie jako teren działań wojennych.

A i my sami, skłócenii pomiędzy sobą, stanęliśmy wobec tych historycznych wypadków bezradni. Jeden był tylko w Polsce człowiek, który czuł, że tam, gdzie losy świata się waga, nie może zabraknąć polskiej szabli. Nazwisko Jego niebawem stało się tak głośne, iż starczyło za armię, której nie mieliśmy i sztandar, którego brakło. Człowiekiem tym był Józef Piłsudski.

Wiedział On dobrze, czego chce i wazył się na tak niewspółmierne do sił swych przedsięwzięcie, że trzeźwa opinia ochrzciła i Jego i tych, którzy z nim poszli, mianem szaleńców!

W małym, cichym, śpiącym zazwyczaj Krakowie w pierwszych dniach tego pamiętnego sierpnia przed ćwierć wiekiem rojno stało się nagle, jakby na odpuszcie.

W wystawowym pawilonie na Błoniach krakowskich, tak zwanych Oleandrach, stanął kwatery Wódz ze sztabem swych najbliższych.

Rozkazem mobilizacyjnym, który podzielał na Polaków jak iskra elektryczna, ściągnął swoje drużyny strzeleckie z całej Polski, ba — nawet z zagranicy. Przekradali się młodzieńcy, studiujący w Belgii, Francji, Niemczech, krajach austriackich, jak ongiś — do Legionów Dąbrowskiego. Można powiedzieć iż tam w krakowskich Oleandrach, zebrała się u boku Komendanta Piłsudskiego cała ówczesna Polska niepodległa.

Wszyscy, których dusił łańcuch niewoli, którym honor i godność Polaka droższe były nad życie, którzy uwierzyli w słowa Wodza o Polsce wolnej, zjednoczonej i niepodległej, rzucali swe codzienne zajęcia i wdzielali na głowę szarą maciejówkę z jagiellońskim orłem, stając do szeregu.

Już w pierwszych dniach sierpnia 1914 roku grupka strażników ruszyła na wywiad w granice ówczesnego Królestwa Polskiego, jęczącego pod knutem cara. Był to pierwszy patrol ułanów Beliny. Poszli na piechotę, niosąc siódła na plecach, bo koni jeszcze nie było. Wrócili cało i zdrowo, na wierzchowcach, z szabłą w rękę i z zaważającą fantazją w sercach, jako załóżek odrodzonej kawalerii narodowej, sławnych później „beliniaków“ 1 pułku ułanów Legionów.

A 5.VIII wieczorem zgromadził Piłsudski na Błoniach

już umundurowanych członków dwóch towarzystw wojskowych, tworzonych od kilku lat pół legalnie na terenie byłej Galicji: Związku Strzeleckiego i Drużyn Strzeleckich i wypowiedziawszy kilka gorących słów stwierdził, iż od tej chwili przestają być owymi „towarzyszami“, a stają się wojskiem polskim i na znak zbratania kazał wymienić strzelcom między sobą orzełki na czapkach.

W ten sposób powołał Wódz do życia z powrotem regularnego polskiego żołnierza, jakiego Polska nie знаła od czasów upadku powstania listopadowego w roku 1831. Następnie wybrał spośród nich 160 młodych zuchów i od dawszy ich pod komendę młodziutkiego oficera strzeleckiego — obywatela „Zbigniewa“, dziś generała dywizji i ministra spraw wojskowych Tadeusza Kasprzyckiego — kazał im trwać w ostrym pogotowiu bojowym.

Radował się młody żołnierz polski z zaszczytnego wyboru, którego zazdrościli inni koledzy. Nikt prawie przez całą noc nie spał. Gawędzono o przyszłej wojnie, prowadzono dysputy polityczne lub też skracano sobie czas oczekiwania wesołą piosenką żołnierską, która rodziła się na poczekaniu. Wśród tych stu sześćdziesięciu — były reprezentowane wszystkie warstwy, wszystkie stany i dzielnice, a więc: obok arystokraty robotniczy, inteligent z miasta obok chłopca, niedorostek obok dojrzałego męża. Nie brakło w Pierwszej Kompanii Kadrowej Wojska Polskiego — bo taką oficjalną nazwę nosiła ta jednostka bojowa, a zachowane po dziś dzień dokumenty z tych dni noszą także pieczętkę — artystów, malarzy, poetów. A choć pochodzili ci młodzieńcy z różnych „zaborów“ — jak to się wtedy określało przynależność polityczną do b. Rosji, Austrii czy Prus — jednakże od pierwszej chwili żyli się z sobą i zbratali, czując się już tylko — Polakami! I to braterstwo, cechujące potem wszystkich żołnierzy Legionów Piłsudskiego, a zaszczytione z kolei szeregiem młodej armii polskiej, żywe po dziś dzień — było najistotniejszym znamieniem tej gromady nieustraszonych, znanych później pod nazwą „Piłsudzczyca“.

I tak ich zastał błądy świt owego pamiętnego dnia 6 sierpnia.

Pobudka. Wyprężeni na „bacność“, z karabinami austriackimi na ramieniu, stanęli w szyku rozwiniętym na Błoniach krakowskich.

Z daleka budziło się miasto, otulone jeszcze w opar mgieł.

Nadjechał Komendant Piłsudski, szef sztabu Sosnkowski i inni oficerowie z najbliższego otoczenia Wodza.

I tam, na tych Błoniach, pod Kopcem Kościuszki, w starym, królewskim mieście podwawelskim, odczytano ów historyczny rozkaz, który dziś zna napewno każde dziecko polskie i powtarza jak pacierz:

„Żołnierze! Spotkał was ten zaszczyt niezmierny, że pierwsi pójdziecie do Królestwa i przekroczycie granice zaboru...“

A potem kompania złamała się w czwórki i ruszyła przed siebie. Hejnał z wieży kościoła Panny Marii odprowadził ją do przeciwległych rogatek miejskich i dalej, szarą, wśród pól wijącą się drogą, na Miechów, Jędrzejów i Kielce...

Poszli, jako czołowa kolumna wojska polskiego, w bój o wolność; za nimi pomaszerowały dalsze kompanie i bataliony. Urósł z nich niebawem cały pułk — sławny 1 pułk piechoty Legionów, a później Pierwsza Brygada, co to „na stos rzuciła swój życia los!”

W połowie sierpnia dołączył do nich młody oficer, z trudem wyciągnięty z szeregów cesarsko-królewskich wojsk austriackich — Edward Rydz, znany pod pseudonimem „Śmigły”, który objął najprzód komendę Kadrowego Batalionu, a niebawem 1 pułku i dowodził nim poprzez wszystkie krwawe bitwy, zawsze zwycięski i uśmiechnięty, aż do końca, to jest do rozwiązania Legionów przez Niemców w roku 1917.

Poszła Pierwsza Kadrowa i powoli za sobą pociągnęła cały naród, po dziś dzień dzierżąc władztwo dusz w Polsce, ku coraz wspanialszej idącej przyszłości.

W 25 rocznicę ich cichego, na pozór nieznacznego wymarszu ze śpiącego jeszcze Krakowa, zjadą się z całej Polski i leguni i młodzi czy starsi ich towarzysze broni. Setki, tysiące, dziesiątki tysięcy.

Zjadą się na radosne święto dumy polskiej i chwały.

Zjadą się, by dać świadectwo odwiecznej prawdzie, zrodzonej na obcej, włoskiej ziemi, w dniach rozpaczliwych i klęski, tuż po rozbiorach, w szeregach legionistów polskich, którzy los Ojczyzny związali wówczas z gwiazdą Napoleona, prawdzie, iż w najbardziej rozpacznej toni Ojczyzna nasza nie zginęła i nie zginie — „póki my żyjemy!”

My — wielki potężny naród od Tatr do Bałtyku...

I jeśli ten naród zespoli jedna myśl wokół ukochanego Wodza — nie masz takiej mocy piekielniej ni ziemskiej, która by złamać go mogła!



Legionista

ZE SZKOLNEJ ŁAWY WYSZEDŁ WPROST
CHŁOPCZYNA NA WOJENKĘ,
PIĘĆ KSIĄŻEK DO TORNISTRA WZIAŁ,
KARABIN I PIOŠENKĘ.
GDY W POLU BOSY Z ZIMNA DRŻY,
LUB Z GŁODU GDY OMDLEWA,
NIE TYLKO NIE URONI ŁZY,
LE CZ WŁAŠNIE WTEDY ŚPIEWA.

BO LEGIONISTA AŻ SIĘ RWIE
DO PIEŠNI I PAŁASZA,
Z OCHOTĄ DZIELNIE BIJE SIĘ,
BY POLSKA BYŁA NASZA.

GDY LEGIONIŠCI IDĄ W BÓJ,
TO POGROM JEST PRAWDZIWY,
A GDY ROZWINĄ DOWCIP SWÓJ,
TO ŚMIEJE SIĘ KTO ŻYWI.
GDY LEGUN STRZELA — ZMYKA WRÓG
W UCIECZCE OPĘTAŃCZEJ,
GDY LEGUN NA HARMONII GRA,
TO CAŁA POLSKA TAŃCZY.

BO LEGIONISTA AŻ SIĘ RWIE
DO PIEŠNI I PAŁASZA,
Z OCHOTĄ DZIELNIE BIJE SIĘ,
BY POLSKA BYŁA NASZA.

Adam Kowalski

UŚMIECH WODZA



Rok 1913... Ćwiczenia strzeleckie pod Lwowem w czasie Zielonych Świąt...

Kilkaset młodzieńczych postaci w szaro-niebieskich mundurach z karabinami i ładownicami uwija się od wczesnego ranka po Janowskich lasach...

Bitwa... prawie jakby prawdziwa, chociaż bitwa na niby. Deszcz od świtu leje beznadziejny. Poprzez zastony z mgieł i dżdżu grzmiały wystrzały... ślepych naboju nacierających na siebie linii tyralierskich.

Choć utyłani jak nieboskie stworzenia, choć zmęczeni marszem i przedzieraniem się przez lasy, wiara strzelecka dumna jest z pracy, jaką kazano jej wykonać! Entuzjazm młodości, zapał do sprawy każe zapomnieć o wszystkim tym przyszłym powstańcom!

To też gdy wieczorem zmęczone i do nitki przemęczone kompanie i bataliony zbierały się na szosie, śmiech i wesola piosenka rozbrzmiewały w szeregach. Ale operacje strategiczne jeszcze nie skończone. Przerwano je tylko na noc. Jutro — ciąg dalszy! W szeregach nastroj podniecony, radosny. Strzelcy z ust do ust podają sobie wiadomość, elektryzującą wszystkich:

— Tak jest, naprawdę, sam Komendant kieruje ćwiczeniami. Jest tu gdzieś w pobliżu. Rano był na tej pozycji, a w południe na tamtej. Jest i Sosnkowski, szef sztabu i inni wyżsi oficerowie. Ten i ów opowiada z tajemniczą miną, że widział tak, na własne oczy widział Jego sumiaste wąsy i przepaściste, do głębi duszy wnijkające oczy...

Ale tych szczęśliwców jest niewiele i wszyscy inni im zazdrozczą! Boć sława Piłsudskiego, bohaterskiego bojowca rewolucji 1905—6 roku, dobrze nam była znana już wówczas, w roku 1913? Zwłaszcza Jego ostatni zuchwały napad na pociąg pod Bezdanami, Jego wykłady taktyki na kursie oficerów strzeleckich, Jego artykuły prasowe i odczyty o istocie wojny i zwycięstwa, o drogach, które wiodą ku niepodległości — rozpałały serca całej ówczesnej młodzieży polskiej.

To też cała brać strzelecka, zebrana na rozmiękłej szosie w deszczową noc majową, gwarzyła głównie o Nim!

Mieliśmy niebawem rozpocząć marsz bojowy.

Na przodzie ubezpieczenia — ściśle według regulaminu strzeleckiego „Służby Polowej”.

Nasz pluton „drużyniacki” stoi na szosie na samym czeluście kolumny. Noc otula nas, jakby welonem tak, iż reszty kolumny nie widzimy. Jesteśmy zmoknięci i zziębnięci, staramy się więc rozgrzać, jak możemy — skacząc po błocie.

Nie ma na nas dosłownie ani jednej suchej nitki, a tu deszcz nie przestaje padać i mży beznadziejny kapuśniaczek. Poprzez cieniuchne nitki dżdżu widzimy zaledwie na parę kroków.

Wtem w nocy i deszczu wyłania się jakaś postać.

Zaledwie możemy rozpoznać kształt maciejówki na głowie i zarysy wojskowego płaszcza.

Ale w ruchach, choć powolnych, lecz zdecydowanych, jest coś takiego, iż wszyscy chłopcy prężą się na baczność z karabinami u nogi.

Nikły ogarek papierosa w ustach oświeca twarz poradloną i wąs opadnięty...

To On, Piłsudski!

Przechodzi wolno wzdłuż zastygłego w bezruchu szeregu, w jednej ręce trzcina, którą uderza po butach, palce drugiej ręki dotykają daszka czapki w żołnierskim pozdrowieniu.

A pod sumiastym wąsem — uśmiech.

Uśmiech niezapomniany!

Robi się jasno, robi się tak jasno w sercu, jak gdyby promienie słońca przebiły czarną ścianę deszczu i nocy.

Wtem przystaje i rzuca kilka słów wpatrzonej w Niego z uwielbieniem drużynie:

— Zmokliście, chłopcy? Nic to, na prawdziwej wojnie będzie gorzej!

Głos głęboki, prawie basowy, na zew którego gotowiśmy wszyscy zginać na miejscu lub porwać się na tysiące!

I znowu uśmiech, dobry, kochany uśmiech rozjaśnia tę marsową twarz.

Patrzy na nas z życzliwością, z rozręwnieniem niemal, ale równocześnie twardo, jak na „kamienie, rzucone na szaniec”!

Czujemy wszyscy, że nigdy więcej swobodnie rozporządzać nami samymi nie będzie nam wolno, że już jesteśmy nie swoja, ale Jego własnością, Jego i Polski!

Przemówił tych kilka słów, uśmiechnął się i poszedł dalej przed siebie, w mrok i deszcz.

A my staliśmy długo i wyciągając za Nim szyję, wypatrywaliśmy Jego sylwetki.

W tej przedziwnej chwili wieczornej wziął dusze nasze w wyłączone władanie...

T. M. Nittman

SZLAKIEM SEAWY



Stary pałacyk spowity zasłoną nocy wznosił się tajemniczo wśród gęstwiny lip i kasztanów. Kontury drzew dość wyraźnie oświetlał swym blaskiem srebrzysty półksiężyc. Wokół panowała cisza. Jedynie co parę minut dawało się słyszeć gdzieś z oddali szczekanie psa lub pogwizdywanie folwarcznego stróża. Była zresztą godzina pierwsza po północy, kiedy przeważnie wszystko w pałacyku i wokół niego spoczywało po pracowitym dniu.

Niezbyt ciemna zasłona nocy ukrywała tym razem jakiegoś szmery, skradanie się czyjeś przez parkan ogrodu, szepty, słowem coś niesamowitego, dziejącego się w tajemniczości i ciszy dworku pana Krzepica.

Stary Krzepic, szlachcic tegi w rozumie i męski w dłoni, po stracie swej żony zarządzał całym gospodarstwem: zarówno rolę, podwórzem, spiżarnią jak i wychowaniem jedynaka.

Chłopak ukończył właśnie czternaście lat i zdał do klasy szóstej płockiego gimnazjum rządowego. Szkoła była prowadzona przez specjalnie dobrany zespół państwowych nauczycieli rosyjskich w kierunku rusyfikacyjnym. Młody Andrzej Krzepic należał do szczęśliwszych wybrańców losu, że wyrósł w otoczeniu specjalnie kultywowanego patriotyzmu, w rodzinie, w której pamięć zasłużonych cichych bohaterów ofiar i krwi w czasie powstań była szczególną. Pradziadek Michał za udział w powstaniu listopadowym zesłany był na Syberię, dziad Marcin poległ jako jeden z bohaterów 1863 roku. Stracili przy tym Krzepicowie wielkie majątki rodzinne, a Modrzejów, Bóg wie jakim cudem, udało się ojcu Andrzejowi ocalić od zguby jako jedyną ich posiadłość.

Ojciec Andrzej, o sumiastym wasie szlachciury, dla sprawy patriotycznej również nie szczędził czasu, wysiłku i mienia. Dworek gościł nieraz tajemniczych znajomych pana Krzepica, którzy pozostawiali mu jakieś pisma, polecenia czy rozkazy. W swej pracy był skryty i choć napewno wiele w wychowaniu jedynaka kładł nacisku na jego ducha i ideały, nigdy się przed nim o tych sprawach jasno nie wypowiadał.

Andrzej odziedziczył po matce niezwykle wrażliwe i od czuwające serce i choć z sobą o pewnych rzeczach nie mówili, to niewątpliwie o nich bardzo często, tylko może inaczej, rozmyślał. Widział nieraz, jak ojciec z nabożeństwem spoglądał na portret dziadka, wiszący nad jego biurkiem — i wiele się domyślał. Niestety nie był przez ojca osmielony do szczerego wypowiedzania się na pewne tematy.

Andrzej miał kilku serdecznych kolegów szkolnych, którzy dzieliли się z nim wieściami o sprawach dotyczących Polski. W sierpniowy cichy wieczór jeden z nich przesał do niego na wieś przez zaufanego chłopca list ważny i owocny w skutki. Zawierał wiadomości o organizowaniu Legionów przez Józefa Piłsudskiego, o sprawach polskich w związku z wielką wojną, o przemarszu Pierwszej Kadrowej przez granice Królestwa i jej triumfalnym pochodzie przez zdobyte Kielce. Było w liście wiele słów uwielbienia dla postaci Komendanta, co szedł o Polskę walczyć i — mały dopisek, że „ten Komendant ma jeszcze tak mało ludzi przy sobie“...

W gorączkowym podnieceniu przerzucił Andrzej oczyma kilkakrotnie otrzymane kartki, rozmyślał długo i dużo, aż oczy mu zabłyśły niezwykłym blaskiem.

I oto w sierpniową cichą noc we dworze i po parku skradała się jakaś tajemnicza postać, drzwi pokoiku młodego Krzepica lekko się uchyliły, wypuściły kogoś i bezszeltnie się zamknęły.

Poranek promieniami wschodzącego słońca począł złocić wierzchołki drzew parkowych i nieśmiało zakradać się do zająca pałacyku. Dziedzic wstał jak zwykle wcz-

śniej, dojrzał pracy w podwórzcu, dał potrzebne wskazówki i polecenia na cały dzień i powrócił do domu. Zanim podano śniadanie zajęty był czytaniem „Powstania styczniowego“. Odołożył wreszcie książkę i z niepokojem rzucił w stronę podającej kawę:

— Panicz jeszcze nie wstał?

— Nie widziałam go jeszcze, proszę pana dziedzica.

— Pójdź i powiedz paniczowi, że czeka na niego śniadanie.

Dziewczyna wyszła. Pan Krzepic zaczął jeść śniadanie, myśląc o nadchodzącym terminie odwiezienia syna do szkoły, gdy wtem wpadła do jadalni z krzykiem pokojówka:

— Panie dziedzicu, panicza nie ma!... Pana Andrzeja nie ma!...

Okno otwarte... Na stole był list... O, Jezu, coś musiało się niedobrego stać z naszym paniczem!...

Krzepic jak gromem uderzony, zerwał się, piorunującym wzrokiem przeszył przerażoną i krzyknął z całej piersi:

— Ciszej, panna! Dawaj list i wynoś mi się stąd!

Skoro wyszła rozerwał kopertę i zaczął czytać cichym, drżącym głosem: „Kochany Tatusiu! Nie gniewaj się na mnie, ale chciałem spełnić swój obowiązek względem Ojczyzny, który tak pięknie spełnili pradziadek i dziadzius Marcin. Idę do Legionów...“

Z nadmiaru uczucia Krzepic nie mógł zrazu dokończyć listu. Po dłuższej chwili uspokoił się i znów przystąpił do czytania.

„Idę do Legionów Komendanta Piłsudskiego. Ty byś również inaczej nie postąpił, gdybyś był na moim miejscu. Wziąłem swoje

zaoszczędzone przez lato pieniądze i z pewnością dam sobie dalej radę. Nie martw się i nie gniewaj na mnie. Twój syn Andrzej“.

Krzepicowi nadbiegły łzy do oczu, usiadł rozpromieniony, jeszcze raz przebiegł zażawionymi oczyma list i wciąż drżącym głosem mówił sam do siebie:

— Czternastolatek!

Rany Boskie!... „Dam sobie radę“... Trudno się na takiego gniewać... Smarkacz, ale Krzepic!... — dodał w zamyśleniu — to może i nie zginie...



Dziesiątego dnia uciążliwej wędrowki Andrzeja w stronę Kielc zanośli się na dłuższy deszcz. Podróż stawała się z każdym dniem coraz bardziej nieznośna, a rozmkłote drogi, nierówne, błotniste ścieżki jeszcze bardziej obryzdały młodemu wędrowcowi nad siły przedsięwziętą eskapadę. Zmęczenie zwiększało się z dniem każdym, niewygody odpoczynków i nienormalne odżywianie próbowały załamać go na duchu. Mimo, że deszcz coraz silniej siekł go po policzkach, że przemoknięte ubranie okrywało go nieprzyjemnym chłodem, szedł dumnie naprzód do wytkniętego przez siebie, a coraz bliższego celu.

Podróż była tym uciążliwsza, że Andrzej musiał dobrać dróg omijających miasteczka, urzędy i wszelkie środowiska, gdzie by niepotrzebnie mógł nim się ktoś zainteresować. Chociaż pogoda nie sprzyjała jego przedsięwzięciu, drogę trzeba było wciąż przedłużać, to jednak cel stawał się z każdą godziną bliższy.

Szedł czternastoletni chłopak dostatnio ubrany, obciążony wyładowanym plecakiem, podpierając się wystruganą po drodze łaską. Szedł wytrwale i pełen nadziei. Był już w Kieleckiem. Tam minęło szczęśliwie dziesięć dni i dziesięć niedospianych noc.

Deszczowy, jedenasty dzień miał się ku schyłkowi i trzeba było pomyśleć o wypoczynku. W oddali w gęstwini topoli i wierzb dojrzał Andrzej rozrzucone parę chałup i zabudowań gospodarskich. Był już mrok. By nie zostać przez kogoś zauważonym, okrążył stojące w pobliżu budynki, chyłkiem za ogrodem przesunął się pod stodołę. Znalazł wejście. Po chwili już był w zasieku. Zjadłszy resztę zakupionego gdzieś po drodze pieczywa zagrzebał się w sнопach zboża i wkrótce zasnął.

Zbudziło go ze snu szarpanie za rękę i czyjś nieprzyjemny głos:

— No, wstawaj! Ktoś ty taki?

Andrzej zerwał się i przeraził się stojącego nad sobą chłopca, widocznego właściciela stodoły, ale zebrał się na siłę i odpowiedział:

— Ja idę do Kielc... Chciałem tu się przespacerować! Niech się panie gniewa! — dorzucił.

Czesław Mączewski

(ciąg dalszy nastąpi)



WYDAWCA: WOJSKOWY INSTYTUT NAUKOWO - OŚWIATOWY

Redaktor naczelny: Jerzy Ciepeliowski, kapitan

Zastępca naczelnego redaktora: Wacław Szmagier

Redakcja i Administracja: Warszawa, ul. Nowy Świat 23/25. Telefony: Redakcji 231-72, Administracji 304-69. Konto PKO 22.144

Drukarnia Krakowska w Warszawie, ul. Wolska 19. Tel. 3.44.20.